

Leonard Neuger

Pragmatyka i teorie

Otóż wydało mi się, że niewolnicza służebność myśli, jej podległość wobec celów użytecznych, jednym słowem – jej abdykacja, okazuje się koniec końców nadzwyczaj niebezpieczna. W rzeczy samej, współczesna myśl polityczna i techniczna, osiagająca swego rodzaju hipertrofię, również na płaszczyźnie celów użytecznych doprowadziła nas do wyników w ostatecznym rachunku śmiechu warty. Nie ma się co oszukiwać: koniec końców mamy do czynienia z bankructwem ludzkości. Co prawda, bankructwo to nie dotyczy całego człowieka, lecz tylko *człowieka zniewolonego*, odwracającego oczy od tego, co nieużyteczne, co niczemu nie służy¹.

Tak pisał na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia George Bataille. Europa Zachodnia dźwigała się na chybcika z klęsk wojennych, zimna wojna podgrzewała do granic wytrzymałości atmosferę. Bataille miał więc do czynienia z dwoma przeciwstawnymi czynnikami. Jednym była „hipertrofia” myśli politycznej, zatem skrajna polityzacja świata, drugim – nadzwyczajny rozwój myśli technicznej. Oba te sposoby myślenia realnie groziły zagładą świata. Zarówno w sensie dosłownym, jak i w sensie poddania wszystkiego bez reszty zasadzie użyteczności, utylizacji człowieka i ekskluzji tego wszystkiego, co się utylizacji opiera (stąd zapewne apokaliptyczny ton Bataille’a). Tym, co je łączy, jest myślenie w kategoriach wąsko rozumianej przydatności czy użyteczności. Tak ukształtowane myślenie jest albo w nieodmiennie dobrym humorze, gardząc ekskludowanymi resztkami, albo niezdarnie pręży się przed czujnym okiem polityki i techniki, próbując udowodnić swoją użyteczność. Bataille nie zostawia żadnych złudzeń: jest to myślenie prowadzące do „śmiechu wartych” wyników, „bankructwa ludzkości” i zniewolenia istotnej części człowieka.

Od czasu, kiedy Bataille pisał te słowa, minęło ponad 50 lat. Myśl techniczna święci zasłużone triumfy, jej hipertrofia nie może budzić najmniejszych wątpliwości, a granic jej wzrostu zapewne nie ma. Biopolityka w sensie

¹ G. Bataille, *Historia erotyzmu*, przeł. I. Kania, Warszawa 2008, s. 9.

Foucaultowskim² i Agambenowskim³ obejmuje swym zasięgiem także „nagie życie”, traktując człowieka, a ściślej jego „ciało”, jako przedmiot użyteczny/nieużyteczny. Wyższe uczelnie traktowane są jak zakłady produkcyjne wytwarzające spodziewane utensylia, wchłaniane przez rynek albo przez niego odrzucane jako odpady produkcyjne. Budżety instytutów ściśle uzależnione są od swoich mocy przerobowych i oszczędności. Im więcej studentów na wejściu i wyjściu z taśmy produkcyjnej, tym budżet większy. Im tańsza siła robocza, tym więcej pieniędzy do obracania, co czyni z profesorów w gruncie rzeczy głównie obciążenie budżetowe. Dotyka to wszystkich wydziałów czy instytutów, nawet tych z natury rzeczy technicznych i politycznych, ale głównie wycieńcza (i rozcieńcza) wydziały humanistyczne, a zwłaszcza neofilologie, niezbyt w ostatnich latach popularne, czyli z perspektywy ekonomii użyteczności – ekskluzywne (co zawsze graniczy z ekskluzją). Popularność jednak jest funkcją obowiązujących postaw społecznych, czy, jak by to ujął Bataille – myśli – a te są użytecznościowe. Popularność można zatem zdobywać tylko, odwołując się do użyteczności.

Łatwo to, oczywiście, skarykaturować. Owszem, pojawiają się tu i ówdzie studenci oraz doktoranci wegetujący na nędznych stypendiach i sprawiedliwie karani bezrobociem lub, w najlepszych wypadku, dorabiający do pensji gdzie popadnie, broniąc się przed karą dożywotniej dalszej wegetacji za ukończenie doktoratu. I to wegetacji wypranej z blasku chwały, bo „humanistyczni akademicy”, jako produkty, cechują się w oczach społecznych niewielką użytecznością, są przeto figurami raczej komicznymi (co nie znaczy, że nie mamy jako tako działających środków kompensacyjnych, jak na przykład zasiadanie „w ciałach”), wypowiadającymi się niezrozumiale (czyli bezużytecznie), wiecznie coś kwestionującymi (zamiast użytecznego ustanawiania), legitymującymi się niepewnym siebie „ja” o wątpliwym statusie (zamiast przynajmniej „ja” tetycznego, zdolnego do bezspornego orzekania o świecie). Co gorsza, coraz trudniej jasno wyznaczyć pole poznawcze, nad którym by, bez popadania w śmieszność, panowali. Rzecz znamienita, ich koledzy z wydziałów „użytecznych” wypowiadają się jeszcze mniej zrozumiale (choćby fizycy czy medycy), ba, nikt nie próbuje nawet ich zrozumieć, ale śmieszności nie budzą. Ponieważ, co prawda, ich żargon, jest niezrozumiały, ale, dzięki temu, co niezrozumiale mówią i piszą, będziemy żyli dłużej – o ile nie wiecznie – poznamy wszystkie zagadki wszechświata i świata, i, co ważniejsze, oni nigdy nie pretendowali do tego co humaniści: że będą się zajmować człowiekiem czy – żeby to ująć drastyczniej – że będą się zajmować **sobą**. Oni się zajmują tym, co przydatne dla człowieka, a to jest różnica. Owo „**dla człowieka**”, „**dla nas**” od razu kryje w sobie użyteczność. I kiedy humaniści starają się swoją użyteczność (w takim rozumieniu) udowadniać, natychmiast sięgają po owo

² Por. M. Foucault, *Wola wiedzy* [w:] *idem, Historia seksualności*, przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski, Warszawa 1995, s. 125.

³ Por. G. Agamben, *Homo sacer*, przeł. M. Salwa, Warszawa 2008, część trzecia: *Obóz jako biopolityczny paradygmat nowoczesności*, s. 163–257.

zbawienne „dla”, umożliwiające transcendowanie „ja” usługującego, obdarowującego, oczyszczonego – od „wy” czy „on” człowieka.

W *Anabaptystach* Friedricha Dürrenmatta występuje Mnich intelektualista, którego wszystkie zwalczające się w dramacie strony usiłują się, ujmując to eufemistycznie, pozbyć. Mnich pragnie być użyteczny, próbuje udowodniać własną przydatność ze skutkiem dla siebie opłakanym.

MNICH

Przyszedłem, aby ofiarować swoje usługi. W wyprawie przeciwko münsterskiemu szaleństwu intelektualista także musi spieszyć na front, matematyk też musi wypełnić swój obowiązek.

VON BÜREN

Matematyka nie jest nam potrzebna.

MNICH

Potrafię obliczyć dokładnie drogę kuli armatniej.

VON BÜREN

Mam Szwajcara, zwinglianina, który stawia przed moim działem dwóch narodowych szwajcarskich świętych, pluje pomiędzy nich i nastawia armatę według tego splunięcia. Trafia zawsze. [...]

MNICH

Jeżeli moja wiedza nie jest nikomu potrzebna, umrę z głodu.

VON BÜREN

Z głodu nie umrzesz, bo cię powieszą. [...]

MNICH

Protestuję! Jestem humanistą! [...]

VON Mengerssen

Humanista! To hańba, że uszedł szubienicy!⁴

Oczywiście, nie tylko śmieszność nam towarzyszy, ale świadczy ona o czymś istotnym, mianowicie o tym, że poruszamy się często w obszarach społecznie wypartych, że ujawniamy pragnienia zrepresjonowane. Bataille mówiłby zapewne o śmiechu człowieka zniewolonego. Może właśnie dlatego niezrozumiały dyskurs nauk przyrodniczych czy matematycznych budzi szacunek, wyznacza bowiem, upraszczając nieco, obszar tego, co bezdyskusyjne, obiektywne, pozaludzkie – obszar, który – właściwie rozpoznany – apeluje do zaradności, przede wszystkim ekspertów. A zaradność ta, jeśli nie dziś, to na pewno jutro, pozwoli na spełnienie naszych potrzeb. Podobnie studenci i doktoranci: z jednej strony żądają wiedzy użytecznej, to znaczy takiej, która w myśl ekonomii nadaje się do zagospodarowania, przeliczalnej na punkty, czyli społecznie uznane przeliczniki użyteczności, i zapewniającej im określony status oraz prawo do stypendium. Jest to sfera, którą chyba najlepiej nazwać strefą potrzeb, zatem czegoś, co przy odpowiednim wysiłku powinno się z definicji dać zaspokoić. Ale równocześnie, przynajmniej niektórzy, przychodzą do wiedzy szczególną ciekawością, czymś wykraczającym poza zewnętrz-

⁴ F. Dürrenmatt, *Anabaptysty. Komedia w dwóch częściach*, przeł. Z. Krawczykowski [w:] *idem, Teatr (wybór)*, Warszawa 1972, s. 480–482.

ne potrzeby i z nimi niezbędnym. Jest to strefa pragnień, jak już pisałem, sfera najczęściej wypierana, między innymi dlatego, że sfera potrzeb odpowiada społecznym aspiracjom, by stać się kimś innym, to znaczy stopić się całkowicie ze światem niewybrakowanym, danym bezpośrednio, pod warunkiem opanowania dwóch podstawowych wybrakowanych przeszkód: języka, który zatem należy szlifować, i przejściowo ułomnego „ja”.

Bataille, cytowany na początku, wyraża się precyzyjnie: mówi o bankructwie, które „nie dotyczy całego człowieka, lecz tylko *człowieka zniewolonego*”. Przepaść nie jest zatem ulokowana gdzieś na zewnątrz, ale właśnie wewnątrz człowieka. I jest to dzisiaj przepaść coraz wyraźniejsza: sfera potrzeb nie tylko dominuje na wszystkich piętrach struktury uniwersyteckiej, ale też udaje jej się z dobrym skutkiem wyprzeć nawet ślady rozbicia podmiotu, zażreć konstytutywny dla niego niedostatek, wyprać go z wyobrażeń i pragnień, czy też, mówiąc innym językiem, zanegować całą sferę doświadczenia, egzystencji, oraz sfingować własną triumfującą totalność. Albo jeszcze inaczej: wytwór naszej produkcji powinien się starać **wiedzieć** głównie po to, żeby uniknąć niepokoju interpretowania. Jak pisał Michał Paweł Markowski:

Pragnienie i interpretacja wymykają się paradygmatowi reprezentacji, co oznacza, że nie zmierzają one w stronę żadnego przedmiotu, niczego swym przedmiotem nie czynią, niczego nie obwołują swoim kresem i nie w nadawaniu sensu się spełniają, gdyż spełniać się zwyczajnie nie mogą. Gdyby to uczyniły, stoczyłyby się do rangi zaspakajalnej potrzeby, skutecznej egzegezy, które po to tylko istnieją, by stopić się z pożądanym przedmiotem, by nałożyć się na wykładalny tekst, by znieść dystans między sobą a tym, do czego zmierzają, by wyprasować fałdy niezrozumiałości⁵.

Markowski rozdziela tu radykalnie potrzeby od pragnień, przyjmując za podstawę owego rozdzielenia specyficzny brak, przepaść między reprezentacją i związanym z nią podmiotem, powiedzmy tetycznym, a tym, co się reprezentacji wymyka, podmywając równocześnie samą możliwość tetyczności podmiotu i jego „pewności siebie” („słaby profesjonalizm” u Ryszarda Nycza) oraz zmieniając przedmiot poznania w swego rodzaju mokre mydło toaletowe, chronicznie wyslizgujące się z ręki.

Ponieważ dzielam przeświadczenia odłamu humanistyki zasygnalizowane tu odniesieniami do Batailla, Nycza i Markowskiego, pracując równocześnie na uniwersytecie (Bataille był tu bardziej konsenkwentny!), muszę zadać podstawowe, moim zdaniem, pytanie co do radykalizmu owego rozdziału potrzeb (użyteczności) i pragnień, o dwoistość podmiotu, który chce realizować swoje zaspakajalne potrzeby i równocześnie ulega nieugaszalnym pragnieniom. Bo przecież to nie jest tak, że trawieni gorączką pragnienia, rzucający się w nieskończone horyzonty interpretacji odrzucamy egzegezę, że nie widzimy przed sobą, mającego choćby, przedmiotu i celu (Markowski zresztą wcale tego nie sugeruje). Musimy się pogodzić z tym, że łączą się

⁵ M.P. Markowski, *Występek*, Warszawa 2001, s. 79–80.

w nas obie sfery, potrzeb i pragnień, co wcale nie znaczy, że łączą się harmonijnie. Oznacza to, że humanistyka uniwersytecka w konsekwencji powinna być naraz instytucją, z definicji zmierzającą do samopowielania, i subwersywnym miejscem samodezynstytucjonalizacji. Inaczej grozi nam, co w Szwecji jest już zauważalne, odpływ najzdolniejszych ludzi, którzy poszukują swojego miejsca poza Akademią, a w konsekwencji – jej marginalizacja.

Zanurzeni w sferze potrzeb musimy jak najlepiej wykonywać naszą pracę usługową. To jednak, co próbuję tu zasygnalizować, prowadzi do nieco innego rozumienia usług. Myślę, że duża część kształcenia w humanistyce uniwersyteckiej powinna być przeformułowywana (i w niektórych ośrodkach tak się już dzieje) i budowana wokół zmieniających się miejsc wybrakowania: wybrakowania języka, świata i podmiotu. Jesteśmy świadkami coraz częściej występujących zwrotów w myśleniu humanistyki, destabilizujących jej tradycyjne pola i definicje użyteczności, dyskursy emancypacyjne wkraczają do Akademii, działając początkowo ożywczo i dynamizująco na badania, by po niedługim czasie poddać się rutynie, wyjałowieniu i instytucjonalizacji. Wydaje się jednak, że co najmniej dwa zwroty w humanistyce mogłyby dać dobrą podstawę do przeformułowywania jej pola usług: przełom etyczny i przełom egzystencjalny, to znaczy te właśnie, które najbardziej kompleksowo wchodzą w to, co nazywam tutaj miejscami wybrakowania. Nasza usługowość w tym zakresie oznacza konieczność zmiany programów nauczania i sposobów nauczania, konieczność napisania nowych podręczników i wypracowywania nowych sposobów mówienia (pisanie). Jak widać, myślę tu o swoistych miejscach zbliżenia między polem potrzeb a polem pragnień. Takie przeformułowywanie humanistyki domaga się współpracy między ośrodkami w Polsce i za granicą (także między ośrodkami zagranicznymi), zarówno w zakresie wąskim, jak i we wspólnych projektach międzynarodowych, szczególnie Unijnych.

Ryszard Nycz, mówiąc o najszerzej, jak się wydaje, ramie obejmującej te pola wybrakowania, tzn. o metodach kulturowej teorii literatury, wspomina o „słabym profesjonalizmie”:

Specyficzną właściwością tych metod jest to, że poznawcze wyniki nie dają się tu oddzielić od sposobów ich uzyskania. Z tych przyczyn można dalej mówić o „przywileju poznawczym” oferowanym przez te orientacje badawcze, gdyż zapewniającym dostęp do wiedzy inaczej nieosiągalnej. W tym przypadku jest to jednak wiedza zrelatywizowana do kulturowych uwarunkowań poznania; tych uwarunkowań, których przewyższenie było uzasadnieniem dyscyplinowej profesjonalizacji wiedzy nowoczesnej. Jest to zatem **profesjonalizm słaby**, ograniczony i zrelatywizowany do historycznego uniwersum kultury. I taki status ma współczesny dyskurs literaturoznawczy⁶.

⁶ R. Nycz, *Kulturowa natura, słaby profesjonalizm. Kilka uwag o przedmiocie [w:] Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. M.P. Markowski, R. Nycz, Kraków 2006, s. 35.

Trzeba tu jednak dodać, że coraz częściej stykamy się z zainteresowaniami przekraczającymi dyskurs literaturoznawczy. W tej sytuacji uważam za najważniejsze zupełnie inne, niż w wypadku pola potrzeb, sposoby współpracy. Muszą to być kontakty w ramach małych grup, lub nawet indywidualne, współpraca rozwijająca podstawowe preferencje poszczególnych badaczy. Widziałbym tu także działania wykraczające poza mury Akademii. Należałoby też postawić na współpracę między doktorantami, spotkania robocze, wspólne seminaria i spotkania dyskusyjne. Bardzo wiele z tych marzeń można już dzisiaj rozwijać bez większych kosztów finansowych, nie ruszając się sprzed komputerów.

I uwaga ostatnia. Przyjęcie za punkt wyjścia rozróżnienia w naszej działalności pola potrzeb i pola pragnień wpisuje nas w szeroki kontekst współpracy. Z jednej strony dzielimy potrzeby z innymi neofilologami i można sobie wyobrazić bliską współpracę właśnie między nimi, wypracowanie wspólnych strategii i projektów. Z drugiej – z innymi polonistykami, gdzie o współpracę łatwiej. Pole pragnień natomiast stawia nas także wobec konieczności dokładniejszego przyjrzenia się przepisom i walki o ich zmianę, bo wiele z nich ma wciąż charakter anachroniczny, sprzyjający izolacji ośrodków lokalnych i promujący raczej występy profesorów niż – ducha współpracy ludzi dynamicznych i myślących inaczej (bywają wśród nich także profesorowie). Pole pragnień otwiera nas równocześnie na inne kierunki w ramach wydziałów humanistycznych. Jest szansą, ale i imperatywem wielostronnego otwarcia. Trzeba jednak pamiętać o tym, że przyszło nam działać w okresie głębokiego kryzysu humanistyki, a może nawet kryzysu Akademii, na siłę wtłaczanych w madejowe łoże gospodarki rynkowej i myślenia w kategoriach wąsko pojmowanego użytku. George Bataille nie pisałby zapewne, gdyby w głębi serca nie wierzył w możliwość otwarcia na – że użyję zgrabnego pojęcia Markowskiego – występki. Na wszelki wypadek jednak dodawał asekuracyjnie:

przyszłoby czas, aby temu zakłamanemu światu przeciwstawić całą możliwą ironię, szelmstwo i wyzbyty złudzeń spokój. Albowiem jeśli nawet mamy przegrać, to potrafimy przyjąć porażkę pogodnie, bez miotania przekleństw i przepowiedni⁷.

Zanim jednak poniesiemy (i o ile poniesiemy) wieszczoną przez Batailla porażkę, wiele zostaje do zrobienia. Mówiąc najkrócej: pole pragnień wymaga od nas świadomej i wspólnej polityki. Za najważniejszą uważam walkę o istotną zmianę systemową, przynajmniej w odniesieniu do humanistyki, choć zapewne dotyczy to także nauk podstawowych. System finansowania Akademii zawiera bowiem *implicite* właśnie ową zasadę użyteczności przeniesioną na uniwersytety wprost z przedsiębiorstw, z nauk przyrodniczych, i narzucającą im pozorne, udawane urynkowienie. A dzieje się tak dlatego, że rdzeniem całego tego systemu jest użyteczność w wąskim znaczeniu: obca, a nawet wroga humanistyce. Zamiast udowadniania, że jesteśmy użyteczni na

⁷ G. Bataille, *op.cit.*, s. 250–251.

tych warunkach, należy wreszcie postawić na diametralnie inne rozumienia użyteczności. Jest ich w humanistyce wiele, często poróżnionych. Ale sam fakt, że są **inne**, właśnie ich **różnorodność i inność** powinny się stać rdzeniem postulowanych przeze mnie zmian.

PRAGMATICS AND THEORIES

In my essay I focus on conceptions which cannot be inscribed in the concept of „useful goals” and usefulness. To put things bluntly: (by definition) openness to unquenchable desires is a negation (also by definition) of realizable needs.

The question which I pose in the essay is: whether an institution such as a university (faculty, department etc.) is able to realize and in what way both the philosophy of desires and needs (usefulness and utility). Or, to put it differently: whether the humanities of desires has a chance to survive in a world which demands utility and is governed by it.